

Monika Sokół

Jeźdźcy

Tomkowi

Kolejny dzień z życia i kolejna butelka. Ranek, gdy poziom alkoholu w mojej krwi jest niepokojąco niski, jak zwykle wygląda koszmarnie. Bądźmy szczerzy - nie ranek, tylko ja. Czułam się zresztą też nie lepiej. Najgorsze jednak czekało mnie po otwarciu lodówki – nie było ani jednej butelki wódki.

- Kurwa mać! – To były jedyne słowa w pełni oddające moje głębokie rozczarowanie. Zdawałam sobie sprawę, że chcąc uzupełnić zapasy będę musiała wyjść. Wyjście z domu było dla mnie wielką wyprawą, w czasie której przychodziło mi stawić czoła ponurej rzeczywistości. Jak ja tego nienawidziłam! Najchętniej położyłabym się i czekała na koniec, który uwolniłby mnie od codziennej szarzyzny i beznadziejności.

Pragnienie było jednak silniejsze od moich egzystencjalnych przemyśleń. Wzięłam się w garść i poszłam do łazienki obmyć twarz. Z lustra nad umywalką patrzył na mnie ktoś obcy – wychudzona twarz, cienie pod oczyma i to mroczne spojrzenie, w którym coraz częściej można było dostrzec iskrę szaleństwa. Dzisiaj jednak pozostał tylko ból. I rozpacz.

Wyszłam po śniadanie.

\

Śniadanie stało na półce i miało nalepkę z reniferami. Wrzuciłam do plecaka całkiem spory zapas tego specyfiku. Westchnęłam widząc, że kobieta sprzedająca tanie wina znów patrzyła na mnie z żalem i litością. Wiele razy od niej słyszałam, że szkoda mnie na takie życie, że jestem jeszcze młoda i mogłabym je sobie jakoś poukładać. Toleruje to, bo jej słowa płyną ze szczerego serca, a ja potrafię to docenić. Wiem, że sama nie ma lekkiego życia – samotna matka z nieuleczalnie chorą córką, więc czasami zostawiam jej resztę. Zazwyczaj równowartość moich zakupów. Nie zmienia to jednak faktu, że ludzka litość budzi we mnie agresję. Już wolę, gdy są zgorzeleni widząc mnie chwiejącą się na nogach, niż mieliby się uzalać nad moim losem. Nie potrzebuję tego. Wybrałam drogę prowadzącą do powolnego zatracenia, a cała reszta mnie nie obchodzi.

Postawiłam kołnierz płaszcz i wyszłam na szary jesienny dzień.

Na parapecie okiennym przy drzwiach sklepu jak zwykle siedziało kilku żuli, którzy na mój widok najchętniej wtopili by się w ścianę. Od czasu, gdy jeden z nich zbyt natarczywie domagał się ode mnie pieniędzy trafiwszy akurat na mój gorszy dzień, starają się raczej nie rzucać mi w oczy.

Widocznie wciąż pamiętają krzyk, krew i sygnał karetki. I dobrze.

\

Po pogrzebie Domina często myślałam o samobójstwie i wstyd mi było, że nie potrafiłam tego zrobić. Czułam, że nie powinnam, chociaż bez niego moje życie i tak straciło sens. Może to moje głupie katolickie wychowanie pozostawiło po sobie ślad? Nie wiem. Faktem jednak jest, że ciągle żyję. Wbrew sobie.

Niedawno znalazłam przypadkiem jego rysunek włożony do mojej ulubionej książki - dwa splecione ze sobą smoki z dziwnymi symbolami wkomponowanymi w ich łuski. To był wzór tatuażu, który mieliśmy sobie razem zrobić. Pamiętam, jaki był podekscytowany pokazując mi szkic.

- Nareszcie znalazłem właściwy wzór, Imbirku! – Cieszył się jak dziecko podstawiając mi go niemal pod nos.

- Ładniutki – mruknęłam zza sterty notatek i książek. Nie byłam w nastroju do rozmowy, gdyż właśnie usiłowałam zebrać w sensowną całość materiały z dwóch lat badań i wysnuć z nich jakieś bardzo mądrze brzmiące wnioski.

Dominik rzucił okiem na pustą kartkę leżącą przede mną. – Acha – mruknął ze zrozumieniem. Wiedział, że w takich przypadkach nie należy mi przeszkadzać, bo robię się drażliwa.

- Porozmawiamy o tym później. – Pocałował mnie w czoło i zamknął się w pracowni.

Później nie porozmawialiśmy. Nie było okazji. Wieczorem Domino zadzwonił do kogoś i wyszedł.

To był przedostatni raz, gdy go widziałam. Ostatni nie był taki przyjemny. Przez łzy patrzyłam na ukochane ciało leżące bez życia w trumnie. Długo nie docierało do mnie, co się stało. Gdy już dotarło, coś we mnie umarło. Odeszło na zawsze.

Została tylko butelka...

\

Ciemny wieczór i puste ulice, po których snuję się bez celu. Gorączka duszy nie pozwoliła mi usiedzieć w miejscu i musiałam wyjść z domu, żeby zupełnie nie zwariować. Czegoś szukałam, tylko wciąż nie wiedziałam czego.

W jednej z bocznych uliczek dostrzegłam kilku „łysych” kapiących chłopca leżącego w kałuży krwi. Obok jeszcze dwóch trzymało wrywającą się dziewczynę. Powoli uśmiech rozjaśnił mi twarz. Tak, to było to...

„Łysi” dopiero po chwili zorientowali się, że ktoś stoi z boku i przygląda się ich poczynaniom. Nie wyglądałam groźnie, więc nie bardzo przejęli się moją obecnością. Jednakże mój szeroki uśmiech

działał wyzywająco na tych naładowanych agresją typków. Zostawili swoją ofiarę i z obleśnym rechem ruszyli w moją stronę.

Przez chwilę zrobiło mi się ich nawet żal...

\

Ocknęłam się u wylotu uliczki. W oddali widać było uciekającą parę. Nie oglądałam się za siebie. Nie musiałam. Wiedziałam, co mogę tam zobaczyć i że wcale by mi się to nie spodobało. Byłam zmęczona i pokrwawiona, ale zadowolona, że gorączka nareszcie minęła. Przypomniały mi się czasy mojej dawnej pracy, gdzie takie sytuacje miałam niemal co drugi wieczór. Ech, dawne dzieje... Wylali mnie, bo byłam zbyt nieobliczalna. Teraz jestem naukowcem i zazwyczaj unikam takich pokus. Chyba, że tak jak dzisiaj, ogień we mnie płonie zbyt mocno.

Powolutku, rozkoszując się ciepłym jesiennym wieczorem, ruszyłam w stronę domu.

\

Pewnego brzydkiego listopadowego popołudnia do moich drzwi zapukał posłaniec z firmy kurierskiej. Miał dla mnie paczkę, chociaż na żadną nie czekałam. Dziwne.

Po zdjęciu papieru moim przekrwionym oczom ukazało się pięknie rzeźbione mahoniowe pudełko. W środku znalazłam cztery słoiczki z jakąś czarną płynną mazią i jeden malutki z czerwoną. Na każdym pojemniczku był jakiś dziwaczny symbol. Hmmm... Gdzieś już widziałam takie znaki... Tylko gdzie? Pociągnęłam z butelki spory łyk. Bynajmniej nie pomogło mi to w koncentracji, ale dzięki temu oderwałam wzrok od słoiczków i zauważyłam przyklejoną od wewnątrz do wieczka pudełka wizytówkę jakiegoś studia o nazwie „Art Tatroo”. Kolejny łyk. Co to może do cholery być? Już nie chciało mi się myśleć. „Art” oznacza albo sztukę, albo zdrobnienie od Artur... Znów palący płyn rozlał się po gardle. A „Tatroo” to pewnie...

Ciemność.

\

Jak zwykle obudziłam się z potwornym kacem. Pozbierałam się z podłogi i poszłam do kuchni w poszukiwaniu klina. Klin grzecznie stał w lodówce, a po otwarciu orzeźwiająco pachniał chmielem. Wzięłam antykacowego procha i po chwili świat zaczął wyglądać lepiej. Kąpiel z pachnącymi olejkami też miała no to pewien wpływ. Chwila dekadencji w życiu pijaka, jak zazwyczaj ją określałam. Jednakże poranna kąpiel jest jedynym momentem w ciągu dnia, gdy mogę myśleć prawie trzeźwo.

Generalnie, dzień zapowiadał się obiecująco.

Leżąc w wannie usiłowałam się odprężyć, ale coś nie dawało mi spokoju. O czymś powinnam pamiętać... Uderzyłam się dłonią w czoło. No przecież! Wczorajsza paczka! Wskoczyłam z wanny i pobiegłam do pokoju. Na stole wciąż leżało otwarte pudełeczko. Co to, do cholery, może być?

Pierwsze co zrobiłam, to sprawdziłam adres odbiorcy. Może się ktoś pomylił? Nie, nazwisko i adres były moje. Przyjrzałam im się bliżej i nogi się pode mną ugięły. Pisane były dobrze mi znanym charakterem pisma. Złapałam za słuchawkę i zadzwoniłam do firmy kurierskiej. Musiałam się dowiedzieć, kto to nadał. Nadawcą był Domino. Pół roku wcześniej zostawił paczkę z zastrzeżeniem, że jeżeli nie zjawi się po nią w ciągu tygodnia, to należy ją wysłać dokładnie po sześciu miesiącach pod podany adres. Nigdy już się nie pojawił.

Poczułam zawód. Spodziewałam się, że... Ech, sama nie wiem czego się spodziewałam. Otarłam łzy i sięgnęłam po butelkę, ale zaraz ją odstawiłam. Za dużo myślenia mnie jeszcze czeka, żeby już się znieczulić. Zamiast niej do ręki wzięłam słoiczek z czarną substancją i powąchałam. Pachniała jak niektóre farby Dominika. Odstawiłam pojemniczek i przyjrzałam się bliżej wizytówce. Studio tatuażu, z którego pochodziła, znajdowało się z jednej z podrzędniejszych dzielnic miasta. Ciekawe...

Wciąż nie dawały mi spokoju symbole na wieczkach słoiczków. Wiem, że już je gdzieś kiedyś widziałam... Niech szlag trafi tę sklerozę!

Niewątpliwie mój mąż miał swój cel w przesłaniu mi tego wszystkiego. To była jakaś wskazówka. Ale do czego? Mam nadzieję, że z czasem się dowiem.

\

Otworzyłam oczy w środku nocy ze świadomością nagłego olśnienia. Już wiedziałam dlaczego te symbole wydawały mi się znajome. Zerwałam się z łóżka i popędziłam do półek z książkami. Z ulgą stwierdziłam, że papierek nie zniknął. Zadowolona zasnąłam ściskając w ręku wizerunek smoków.

\

- Dziarę chcę – rzuciłam od progu wchodząc do nieco obskurnego pomieszczenia.
- Pewnie różyczkę na pupie – szyderczo uśmiechnął się łysol siedzący za stolikiem i pijący kawę.
- Widzę, że zależy ci na klientach. – W moim wzroku nie było nawet odrobiny wesołości. – To chcę. – Położyłam przed nim rysunek Domina. Łysol zbladł.
- Acha, więc to o ciebie chodziło... – Przyjrzał mi się dokładnie.

- Sprecyzuj.

- Ty jesteś Imbir. – Bardziej stwierdził niż spytał. – On mówił mi, że przyjdiesz.

- On czyli kto?

- Taki gość z niesamowitymi, jasnymi oczyma. Dominik miał na imię. – Wypił łyk kawy.

- Co jeszcze ci mówił? – Mój głos był cichy i łagodny, ale jedyną rzeczą, na którą miałam w tej chwili ochotę, to złapać gościa i wydusić z niego wszystko, co wie. Jednak ku własnemu zdziwieniu, znajdowałam w sobie niewyczerpane pokłady cierpliwości. Miałam niejasne wrażenie, że powoli uchylałam rąbka tajemnicy, o której jeszcze kilka dni temu nie miałam pojęcia. A wydawało mi się, że tak dobrze znam mojego męża...

- Kazał ci jeszcze przekazać... – Zamilkł i podrapał się w łusę głowy. – Kurde, chyba zapomniałem...

Pokłady okazały się jednak ograniczone. Zaciśnięta pięść. Musiałam wyglądać bardzo nieciekawie, bo łusol zaczął gorączkowo szukać czegoś w szufladzie.

- Moment, zaraz znajdę. Zapiśniętym sobie na taki właśnie wypadek... – Uśmiechnął się przepraszająco. Po chwili tryumfalnie wyciągnął skrawek papieru. – U mnie nic nie ginie. Więc kazał ci powiedzieć, tak: „Jesteś Imbir. Ty jesteś prawdziwym smakiem mojego życia.”

Poczułam, jakby ktoś z wielką siłą trafił mnie w splot słoneczny – ciężko było złapać mi oddech. Te słowa Dominika mówił mi w chwilach największej czułości. To było jego wyznanie miłości, tak zakręcone, jak on sam.

- Butelkę – wychrypiałam.

\

- Kilka miesięcy temu zadzwonił do mnie gość, a zaraz potem przyszedł z dokładnie takim samym wzorkiem. – Łusol wskazał na leżące na stole smoki. - Przyniósł swoje igły i farby. Wszystkie najwyższej jakości. Farby są cholernie drogie, bo robione ze specyficznych składników sprowadzanych z Indii. Wcześniej o takich farbach słyszałem tylko legendy. Nie wiem czy ktoś w Europie w ogóle pracował z takimi barwnikami. – Delikatnie pogładził palcem słoiczki, które przed nim postawiłam. – Wiesz, zanim pokazał mi ten wzór i farby, długo rozmawialiśmy. Wyglądało na to, że mnie sprawdza i widocznie przeszedłem test, bo zdecydował się, żebym zrobił mu tatuaże na obu dłoniach.

Dziwne, bo nie przypomielałam sobie takich tatuaży, gdy widziałam go ostatni raz w trumnie. Tylko, że ja z tamtego okresu niewiele pamiętam.

- Na początku to mi się ręce trzęsły, jak brałem pojemniczki do rąk, ale szybko się przyzwyczaiłem. Dominik sporo zapłacił, ale mnie się raczej wydawało, że to ja powinienem jemu podziękować za to, że umożliwił mi pracę na takich materiałach. – Zamyślił się chwilę.

- Przez chwilę zastanawiałam się, dlaczego Dominik wybrał akurat ciebie. Sam rozumiesz, że to – rozejrzałam się dookoła – raczej nie zachęca. Teraz już wiem – jesteś, podobnie jak on, prawdziwym artystą.

- A żebyś wiedziała, że jestem! – Rozzłościł się, jakby wielokrotnie słyszał na ten temat kpiny. – Te odrapane ściany i ta brudna ulica nie świadczą o tym, czy ktoś ma talent czy nie. Liczy się to, co robię i jak to robię. Zobacz sama, jak wygląda gabinet. – Wskazał ręką na drzwi za sobą. Nie omieszkałam tam zaglądnąć. Wszystko było równiutko poukładane, czyściutkie i sterylne. Pokiwałam z uznaniem głową.

- Robienie tych tatuaży zajęło mi całą noc. Rozmawialiśmy trochę .– Łysy wyjął mi z ręki butelkę i wsadził herbatę, którą właśnie zaparzył. - Głównie o tobie. Dominik mnie ostrzegął, że jak przyjdzie kiedyś chude, długie i rudawe, to lepiej, żebym tego nie drażnił. - Uśmiechnął się. – Chyba troszkę przesadził, co?

- Możliwe... – Nie chciało mi się wyprowadzać go z błędu. Bo i po co?

- A co u niego słychać?

- Nie żyje. – Te słowa wciąż z trudem przechodziły mi przez gardło.

- Szkoda, fajny był z niego facet. – Łysy pokiwał głową. Zamyślił się chwilę. – Wiesz, po tym, jak zrobiłem mu te smoki, prosił, żeby przekazać ci jeszcze coś. Powiedział tylko: „Ja pójdę pierwszy”. I tyle. Rozumiesz coś z tego?

- Nic.

- Acha. A tak na marginesie, to Artur jestem...

\

Obudziłam się w nocy. Plecy bolały mnie potwornie. Bolały jakoś inaczej, nie tak, jak powinna boleć poraniona skóra, ale tak, jakby coś wijąc się rozrywało mi mięśnie. Jęknęłam. Wraz z otwarciem oczu ból przeszedł.

Sięgnęłam po butelkę. Niestety, szkło było puste.

- Znowu – warknęłam wściekła. Po zakończeniu tatuowania piłam do nieprzytomności, bo specyficzny swędzący ból był trudny do zniesienia.

Teraz jednak moje myśli zaprzątnięte były czymś innym. Miałam sen. Bardzo wyrazisty. Śniła mi się pustynia z czerwonym piaskiem i skałami, a na jej horyzoncie majaczyła rzeka krwi. W oddali widziałam sylwetki kilku jeźdźców na czarnych rumakach z olbrzymimi ptakami na ramionach.

Po przebudzeniu wypełniła mnie dziwna tęsknota. Niemal od razu pomyślałam o Domino i poczułam pustkę w miejscu, gdzie powinnam mieć serce. Takie poranki były dla mnie zbyt okrutne. Właściwe preludium do rodzącego się zimnego dnia.

\

Co noc sny stawały się bardziej rzeczywiste. Ich centrum stanowiło trzech mrocznych jeźdźców zakutych w doskonale czarne zbroje. Pomimo promieniującej od nich obcości i lodowatego chłodu, coś niewytłumaczalnego ciągnęło mnie do nich. Lubiłam obserwować, jak przejeżdżają przez wsie i miasta skąpani we krwi i pozodze, nawet na chwilę nie tracąc nieludzkiego opanowania.

Z drugiej strony z powodu tego chłodu wydawali mi się bardzo ponurzy, czegoś im brakowało. Czasami wyglądało na to, że te ich mordercze rajdy robione są wyłącznie z obowiązku, nie widać było w nich ani pasji, ani radości. W jakiś niewytłumaczalny sposób zdawali się niepełni.

Bogowie! Jak ja im zazdrościłam! Chciałam, jak oni jechać na karym rumaku, z czarnym orłem na ramieniu, budząc grozę w sercach mieszkańców tej krainy. I mieć w sercu lód zamiast kawałka mięsa. I być z nimi.

Tego najbardziej brakowało mi po przebudzeniu. Z potwornej tęsknoty za światem ze snów ogarniała mnie rozpacz.

\

Każdego dnia olbrzymie smoki na plecach dawały znać o sobie. Teraz nie ograniczały swojej aktywności do mojej fazy snu. Czasami unosiły łby, gdy przechodziłam obok agresywnych dresiarzy, czasami uderzały gniewnie ogonami, gdy ktoś litował się nade mną. Jednego szczególnie nie lubiły – alkoholu. Miotły się wtedy szarpiąc moje mięśnie i żyły. Ale ja i tak piłam – lubiłam się z nimi drażnić.

\

Tej nocy nadleciały orły. Krążyły nade mną coraz niżej i niżej. Ich olbrzymie skrzydła budziły wiatr, który targał moimi włosami, a zakrzywione szpony były coraz bliżej mojej twarzy. Wyszczrzyłam radośnie zęby i przyczałam się na lekko ugiętych nogach. Rozsadzała mnie euforia, a w żyłach pulsowała czysta adrenalina. Marzyłam o tym, żeby wreszcie spadły na mnie i gdy zaczęły pikować w dół śmiałam się, jak opętana, jednocześnie szykując się do skręcenia im karków.

\

Obudziłam się mokra od potu. Smoki na moich plecach wyczyniały dzikie harce. Sięgnęłam po butelkę. Na szczęście zostało w niej jeszcze trochę płynu. Poczułam w ustach znajomy piekący smak,

który sprowadził na mnie błogie odprężenie. Nie na długo jednak, gdyż po chwili moje ciało przeszły przenikliwy ból. To jeden z tych cholernych gadów smagnął mnie po nerce. Zakrztusiłam się wódką i kaszląc wyplułam ją na podłogę. Skurczybyki, zabrały się poważnie za zniechęcanie mnie do picia. To chyba nawet skuteczniejsze od Esperalu. Dałam na razie spokój butelce.

Okazało się, że to „na razie” trwało jakieś dwa tygodnie, bo smoki były czujne i boleśnie reagowały na jakiegokolwiek próby przemycenia do mojego organizmu nawet odrobiny alkoholu. Za głupią herbatkę z rumem zwijałam się z bólu dobre dziesięć minut.

Nie ma co ukrywać – smoki doprowadzały mnie do furii. Miałam szczerą ochotę je usunąć. Zdawałam sobie jednak sprawę, że tego zabiegu mogłabym nie przeżyć, bo bestie nie poddałyby się bez walki. Poza tym, to trochę byłoby mi ich żal – były naprawdę piękne. Każda łuska na ich węzowych splotach lśniła, jak wypolerowany czarny pancerz, a każdy symbol jarzył się krwistą czerwienią.

Wstyd mi się do tego przyznać, ale dzięki nim czułam się trochę mniej samotna.

\

Podczas kolejnej wizyty na czerwonej pustyni znalazłam się tak blisko Jeźdźców, że mogłam dokładnie przyjrzeć się ornamentom na ich zbrojach. Jednak to nie one przykuwały moją uwagę.. Wpatrywałam się w mroczne wizury hełmów z natężeniem, chcąc zobaczyć chociaż błysk oka, ale niczego nie osiągnęłam – hełmy zdawały się być wypełnione ciemnością.

Czerwony piasek, krwawe słońce i dym z płonących strzech stanowiły niesamowite tło dla tych groźnych, a zarazem pięknych postaci.

Zupełnie, jak na obrazach Domina...

\

W brzydki marcowy poranek dzwonek do drzwi oderwał mnie od książki. Zdziwiło mnie to, bo nikogo nie oczekiwałam. Po otwarciu drzwi przed sobą zobaczyłam wielki bukiet.

- Dzień dobry. Jestem posłańcem z kwaciarni „Niezapominajka” i mam dla pani kwiaty – wyrecytował jednym tchem głos zza bukietu. Jak się po chwili okazało głos należał do piegowatego nastolatka.

- Od kogo? – To pytanie samo cisnęło mi się na usta.

- Ja tam nie wiem, ale jest bilecik. – Wskazał na maleńką kopertkę przymocowaną do łodygi róży. – To jak? Weźmie pani ten bukiet czy nie?

- Wezmę. – Wciąż jeszcze zaskoczona odebrałam dzieciakowi kwiaty i zamknęłam drzwi.

Pierwsze, co zrobiłam, to wyjęłam karteczkę z koperty. Od razu rzuciło mi się w oczy znajomy charakter pisma. Ciekawe czy te kwiaty zamówił w podobny sposób, jak wysłał mi paczkę? Nieźle sobie Domino to wszystko wymyślił...

Przeczytałam karteczkę jeszcze raz: „Śmierć to tylko brama. Czy masz już klucz do właściwych drzwi?”

Nienawidzę zagadek.

\

Czym jest śmierć? Śmierć to wrota do innego świata. Po przekroczeniu ich czeka nas kolejne życie. Gdzie? Tego, tak naprawdę, nie wie nikt. Miejsce, w którym otworzymy oczy po przejściu, jest wyłącznie dziełem przypadku i chociaż bardzo byśmy chcieli, nie jesteśmy w stanie na to wpłynąć.

To była moja teoria życia po śmierci, z którą mój kochany mąż zupełnie się nie zgadzał. Uważał, że śmierć jest końcem wszystkiego, po niej nie ma już nic.

- Fantazujesz, Imbir. – Do dziś pamiętam jego słowa. Oczywiście oznajmiłam mu, że jest ograniczony.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie tej absurdalnej dyskusji. A potem wyjechał do Indii na kilka miesięcy, jak to nazywał, „złapać natchnienie”. Wrócił odmieniony. Był tajemniczy, czegoś szukał, wyglądało na to, że stara się coś objąć rozumem, ale to wciąż mu się wymykało. Z półsłówek wywnioskowałam, że chodzi o jakieś specyficzne teorie reinkarnacji, ale jako, że nigdy nie interesowałam się hinduizmem, nie drążyłam tematu.

Imbir... Tylko Domino mnie tak nazywał...

Potrząsnęłam głową chcąc uwolnić się od wspomnień i wzbierających łez. Podniosłam kubek i twarz owionął mi zapach herbaty. Moje myśli znów skupiły się na leżącej przed mną karteczce.

„Śmierć to tylko brama. Czy masz klucz do właściwych drzwi?”

Pierwsza część była jasna i jak ulał pasowała do mojej i nie tylko mojej, teorii - w wielu religiach występuje idea kolejnego świata, jak choćby najbardziej oczywiste Raj i Piekło w chrześcijaństwie, gdzie śmierć jest fazą przejścia. Ale klucz? Co to za klucz? I które drzwi są właściwe?

Ta kwestia nie dawała mi spokoju przez kilka następnych dni, aż nadszedł Sen.

\

Byłam tak blisko czarnych Jeźdźców, że gdybym zrobiła kilka kroków mogłabym dotknąć końskiego pyska. Jednak, jak to często we śnie bywa, nie mogłam ruszyć nawet palcem.

Tym razem wyraźnie widziałam w wizurach oczy – zimne, jak powiew arktycznego wiatru na

pustyni. Przyglądały mi się badawczo.

Nagle jeden z Jeźdźców zsiadł z konia i podniósł przyłbicę.

Przeżyłam szok. Przedemną stał Dominik – dokładnie taki sam, jak przed śmiercią. Był o kilka metrów ode mnie, a ja nie mogłam go nawet dotknąć. Wszystko we mnie wyło z pragnienia, by chociaż na chwilę móc się do niego przytulić.

Jego twarz jednak pozostała nieruchoma. Zdjął jedną ze swoich pancernych rękawic i podniósł dłoń na wysokość oczu, grzbietem w moją stronę. Zobaczyłam tatuaż – dwa splecione smoki. Domino wpatrywał się we mnie intensywnie swoimi błękitnymi oczyma próbując coś mi przekazać. Mógł przestać się tak wysilać, dla mnie wszystko stało się już jasne. Dwa splecione nierozzerwalnie smoki – ja i on. Gdzie pójdzie jedno, tam za nim podąży drugie. To tatuaż jest kluczem. Teraz, gdy go mamy nie straszne są nam granice wyznaczone przez Śmierć. Zawsze znajdziemy właściwe drzwi.

\

Rano obudziłam się z uśmiechem. Nie pamiętam kiedy ostatni raz czułam się tak dobrze. Wszystko nagle okazało się jasne i przejrzyste.

Smoki pieszczotliwie przesunęły się pod skórą.

- Tak, miałyście rację – przyznałam. – Musiałam być trzeźwa, żeby dojrzeć do tego wszystkiego. Ale te wasze radykalne metody...

Teraz już wiedziałam, dlaczego wcześniej odczuwałam podświadomą niechęć do skończenia ze sobą. Jak sądzę, w tym też w jakiś niewyjaśniony sposób maczał swoje palce Domino. Gdybym umarła bez Klucza prawdopodobnie bylibyśmy rozdzieleni na setki lub tysiące istnień, a może nawet na zawsze. Kto wie, ile światów czeka na nas po śmierci? Jednakże, dzięki mistycznej wiedzy Wschodu, chyba nam już to nie grozi...

\

Słońce jeszcze świeciło, ptaki śpiewały na gałęziach drzew, a powietrze pachniało wilgotną ziemią. Wspinałam się na stok z trudem łapiąc powietrze. Cóż, picie nie sprzyja dobrej kondycji.

Stojąc na szczycie rozejrzałam się dookoła. Było tu tak samo pięknie, jak wtedy, gdy byliśmy tu ostatnim razem. Obydwoje. Stałam nad przepaścią chłonąc ciepłe promienie słońca, zapamiętując otoczenie wszystkimi zmysłami. Miałam niejasne uczucie, że tam gdzie się wybieram, takich rzeczy nie zobaczę.

Cofnęłam się kilka kroków, rozpędziłam i skoczyłam. Całe życie chciałam chociaż przez chwilę

poczuć wolność swobodnego szybowania w przejrzystym powietrzu, w promieniach zachodzącego słońca. Ta sekunda zanim zaczęłam spadać była doskonałością.

Potem nie było już nic.

\

- Zginęła na miejscu. – Jeden z ratowników górskich pochylił się nad ciałem młodej kobiety. – Nie ma żadnych dokumentów przy sobie.

- Na górze nie było śladów osunięcia – stwierdził drugi. – Musiała skoczyć. Popatrz, sweter na plecach jest cały spalony, jakby przed skokiem oblała się benzyną i podpaliła, ale na plecach skóra jest gładka i nienaruszona. Dziwne.

- Ciekawe, co ją do tego skłoniło? Przecież nawet teraz widać, że jest uśmiechnięta, jakby cieszyła się ze śmierci.

- Tego już nigdy się nie dowiesz.

\

Siedziałam na olbrzymim karym rumaku i patrzyłam w twarze Czarnych Jeźdźców. Obaj towarzysze Domina mieli piękne, dumne oblicza, które przywodziły na myśl doskonałe maski wykonane przez jakiegoś przedwiecznego mistrza.

Twarc Dominika byłaby równie nieruchoma, gdyby nie lekko uniesiony kącik ust i tryumf w oczach.

Śmiał się, skurczybyk! Sądząc po natężeniu emocji, które okazują Jeźdźcy, mój mąż skakał z radości.

Obaj Czarni Rycerze skinęli mi lekko głowami. Wyszczrzyłam zęby w dzikim uśmiechu.

- Witaj w domu, Bestio – usłyszałam w głowie głos Dominika. – Tutaj wreszcie możesz spuścić ze smyczy swoją prawdziwą naturę.

Bestia Ognia - to moje prawdziwe imię. Zamknęłam oczy czując, jak wszelkie bariery mojego umysłu rozpadają się w proch. Byłam brakującym ogniwem Jeźdźców, pierwiastkiem szaleństwa, który równoważył ich opanowanie i wprowadzał harmonię we wspólnym istnieniu. Byłam Bestią, a to było moje Miejsce we Wszechświecie, mój Dom. Wreszcie wróciłam. Ogarnęła mnie dzika radość, a więzione w duszy szaleństwo znalazło ujście w opętańczym śmiechu. Spięłam konia i ruszyłam galopem przez pustynię. Czułam na twarzy gorący wiatr, a w ustach czerwony piasek, który miał smak imbiru.